



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

KSIĄŻKI KOŁĘDOWE.

Gwiazdka Bożego Narodzenia przynosi corocznie młodym czytelnikom dar drogocenny—książki odpowiednie ich wiekowi. Zamiłowanie książki za młodu rozbudzone idzie za nami w życie i nie tylko wiedzę naszą rozszerza, ale staje się źródłem najszlachetniejszego używania i dlatego też rodzice i wychowawcy usilnie starają się o to powinni, aby w młodzieży gust ten dobry się wyrobił. Wyobraźnia młoda potrzebuje dla polotów swoich odpowiedniego kierunku, co w tym wieku otrzymuje się najskuteczniej za pośrednictwem książki, tak dobrze pisanej, aby zająć mogła, pomysłanej tak szlachetnie, aby zwracała myśl w kierunkach życia podnioslejszych. Edukacya wyobraźni odbywa się też w znacznej części przez książkę i jest to wielkim obowiązkiem rodziców, aby umieli dobrze ją przeprowadzić, stawiając przed myślą młodą szlachetne wzory dobra i piękna duchowego. Jak zła książka może wyobraźnię młodą zbrudzić, może ją poniżyć, tak dobra daje jej skrzydła, niosące w stronę cnoty górnej, porywów poświęcenia i poczynając od dzieci najmłodszych trzeba rodzicom starać się o to, aby książka odchyłała przed niemi tę zasłonę powszedniości życia, po za którą ujrzyć by mogli coś więcej, niżeli zaspokojenie potrzeb i spraw życia tego codziennych — coś co kazałoby żywiej uderzyć sercu, a wyobraźni rozwinąć skrzydła w stronę ideału cnoty górnej, poświęceń szlachetnych, wydarzeń niepospolitych, wśród których człowiek wydobywa sobie z piersi wzniosłe moce zaparcia się swego ja na korzyść spraw wyższych, niż dola lub niedola jednostki.

Złe jest istocie młodej przyrosnąć do ziemi, jak

roślina, utonąć myślą w ciasnym kółku codziennego swego istnienia i gdy poeta woła: — Młodości! ty nad poziomy wylatuj... wskazuje on wychowawcom wielki obowiązek szlachetnego wyrobienia wyobraźni i porywów uczucia młodego. Kto też nie umie sił takich w piersi wychowanka swego rozbudzić, niech nie oczekuje daremnie, aby wyrosła z niego taka istota ludzka, o której by powiedzieć można: — Oto człowiek!... A nie konieczne potrzeba na to jakichś szczególnych zdolności i sił umysłu, należy tylko takie pojęcie obowiązków człowieka młodej istocie dać — dać je tak wczesnie, aby rosło wraz z nią i wielką tu w wychowaniu pomocą jest książka taka, która obrazem piękną moralnego młodego czytelnikowi przedstawiając, wyobraźnię jego za sobą pociąga i daje jej polot szlachetny. Wielce też zyskają w tym kierunku młodzi czytelnicy, gdy im się dostaną na kołędę trzy książeczki z *Biblioteki dla młodzieży*, wydanej przez księgarnię Gebethnera i Wolffa, a to: „Zagrzebani w śniegu“, „Robinson dla młodej dziatwy“ i „Róża na Tannenbergu“; przekłady to są wszystkie a obok tego tylko edycje ich są nowe dla tej dziatwy, która nadrosła teraz i która czytać je będzie z takim samym zajęciem, jak czytali je niegdyś ich poprzednicy, a wielką zaletą wspólną wszystkim jest, że mieszczą przykłady szlachetnej siły woli, szlachetnej siły prawdziwego uczucia. Małe dzieci od lat sześciu do dziesięciu, dostały rzecz nową, w ładnej edycyi, ozdobionej rycinami: „Las“ przez p. Maryą Werycho. Co się tam krzewi, co tam żyje, jak załatwia sprawy swoje, jest opisane dobrze, sposobem bajki, która do umysłu dziecinnego najłatwiej trafia, a przecież przynosi pewną wiedzę rzeczywistości. Skład główny w księgarni taniach wydawnictw, ulica Szpitalna.

Starsze już, dorastające panienki otrzymały od Teresy Jadwigi (Papi) książkę „Różne ścieżki.“ Jestto historia dziewczeczki młodej z dobrem sercem, ale upartej i samowolnej, którą jednak po-

prawiają ciężkie próby losu, utrata matki, smutne kalectwo ojca: ślepotą. Pocziwe serce bierze górę nad wadami, następuje poprawa i rozwijają się w zarozumiałej, samowolnej dziewczeczce szlachetne cnoty poświęcenia, pracowitości. Ojciec ten przecież umiera, sierota pozostaje samotną i ubogą, bo ojciec nie mógł w ostatnich czasach czuć nad gospodarstwem a rodzina nie ma chęci przyjąć jej do siebie i ona biedna czując to, zdobywa się na energią. Jest już widać pełnoletnią, bo włosie posiadana oddaje bezspornie dłużnikom i wyjeżdża z resztą posiadanej z jej sprzedaży mienia—wyjeżdża do Zurychu i tu rozpoczyna nową erę istnienia o własnej sile—o sile pracy na kawałek chleba.

Chęć szlachetna i w jej położeniu mogąca ją jedynie podnieść nad nędzę tego życia z łaski cudzej, które jest niemal zawsze stokroć cięższem do zniesienia, niż praca najciężliwsza, której ona nie lęka się bynajmniej. W cudzym kraju spotyka na szczęście rodaczkę, z którą złączył ją wkrótce węzeł przyjaźni. Mieszkały razem i pomagały sobie żyć, owa przyjaciółka sieroty była praktyczną i gospodarną, zajmowała się urządzeniem domowego gospodarstwa w sposób bardzo oszczędny i praktyczny, bo gotowała sama na małej kuchence przyniesione przez siebie z targu zapasy żywności i autorka zapewne z tą dobrą myślą szczegół ten wtrąciła, aby wykazać, że kobieta poświęcająca się zawodom naukowym może przecież nie pozbyć się mimo to cnót i przymiotów kobiecości, które jej na tej drodze nowej nie będą bynajmniej przeszkadzać, jeżeli potrafi rozsądnie i pracowicie czasem swoim rozrządzać.

Autorka widocznie kładła nacisk na tę stronę rzeczy, bo wdaje się w różne drobne szczegóły gospodarskie studentek, które są może trochę za drobiazgowo traktowane, więc nie zajmują czytelnika, ale są pisane z dobrą intencją wykazania tej prawdy niezaprzeczonej, że kobieta najwyżej wykształcona może a nawet powinna zachować

praktyczne cnoty kobiecości, które jej ułatwiają drogę życia zawsze i wszędzie. Ładny jest obrazek łamania się opłatkiem dwóch przyjaciółek w wigilię Bożego Narodzenia.

Powróciwszy do kraju bohaterka powieści, która już jest doktorem medycyny, zajmuje się lečeniem, jest więc użyteczną i na podstawie tej pracy swojej wiedzie tu życie szczęśliwe podniesione nad troskę o chleb powszedni, nie wytrącone z tej kolei nawyków i stosunków swoich, przy których nie mogła by się utrzymać inaczej. Myśl przewodnia książki w stosunku do pracy kobiecej w stanach towarzystwa wyższych jest dobrze pojęta i w zakresie talentu Teresy Jadwigi dobrze oddana, przedstawia przeciętne położenie wyjątkowe, ograniczone do mniejszej liczby osób i warto by było, aby dorastające dziewczęta, zwłaszcza ze sfer ziemiańskich, otrzymały podobny wzór energii i pracowitości, który by pomógł do utrzymania się rodzin na starym, znojem działów i pradziadów przesiąknięm kawałku ziemi.

Najwięcej zajmującą z koleśowych książek tegorocznych dla starszej już młodzieży jest z niemieckiego przełożona przez Karola Jurkiewicza, opowiadanie historyczne „Z dziejów odkrycia Ameryki“ z szesnastu ilustracjami, napisane dobrze, wydane ozdobnie i razem tworzące tom gruby i duży. Mimo to żaden z młodych czytelników nie znuży się, nie znudzi czytaniem tej książki, która i wiedzę jego rozszerzy i da mu zajęcie czasu bardzo przyjemne. Z punktu pedagogicznego wpływów książki na wyobraźnię młodego czytelnika, to przecież zarzucić tu trzeba, że sceny smutne skazywanych na śmierć przez Kolumba i jego wodzów Indyan, mogą działać ujemnie, zwłaszcza, że Kolumb występuje tu z natury rzeźczy otoczony glorią chwały, ale prawda to historyczna i fałszować jej nie można. Część książki druga: „Pod chorągwią Korteza“ ma te same zalety rozbudzenia wyobraźni młodego czytelnika, w kierunku wielkich dziejowych wydarzeń, wielkich nieśmiertelnych czynów ludzi dzielnego ducha i śmiałej przedsiębiorczości, przecież i tu są sceny równie smutne gwałtów i nadużyć, niesprawiedliwości, ale podnieta jest szlachetniejsza i nie sama żądza złota i sławy wiedzie tu zaborców państwa nieszczęśliwego Montezumy. Podbój ma tu za hasło swoje niesienie wiary chrześcijańskiej między pogański lud azteków, który bóstwom swoim składał ofiary krwawe mordowanych tysiącami ludzi. Korteza z krzyżem w ręku dopuszczał się przecież okrutniejszych jeszcze gwałtów, bo niosąc tym dzikim narodom Ewangelię: prawo miłosierdzia i win odpuszczenia, kąpał się we krwi mordowanych i chrześcijańscy rycerze nie występowali tu bezinteresownie, powiedzieć też można, że i Europejczyk był jeszcze wtedy istotą dziką.

Część książki trzecia: „W złotodajnej Peruwii“ to rzecz ta sama na fle tylko innym: podbój Europejczyków, gnanych chęcią zysków i łupów złota wydzieranych okrutnie ludowi zamieszkującemu zarosłe dzikimi lasami przestwory. Pierwszym europejczykiem, który tu zawitał, był hiszpan, Nunez Balboa, który mając pod wodzą swoją stu dziewięćdziesięciu hiszpanów i dziewięćset indyan, oraz kilkanaście sfor brytanów, przybywał, chrześcijanin, polować tu na ludzi, których pragnął złupić z posiadanej złota. Przebył z tym orszakiem swoim łańcuch gór wyniesionych tu na siedemset metrów nad morzem i z tej wysokości raz pierwszy wzrok jego ujrzał niezmiernie zwierciadło Oceanu. Było to w d. 20 Września 1513 r., skoczył z chorągwią Kastylji w ręku w jego fale i objął w posiadanie ojczyzny swojej nowo odkryte wody i oblewane przez nią lody—od północnego do południowego bieguna. Krajowcy opowiadali im chętnie o daleko, daleko, w stronie południa położonym kraju, a między słuchaczami znajdował się pewien rycerz hiszpan z rodu, który postanowił puścić się na morze dla dalszych poszukiwań złota i chwały a wymowny i pełen zapалу umiał znaleźć sobie towarzyszy, którzy poszli za nim, aby lata całe błąkać się wzdłuż wybrzeży, dając wciąż w stronę południa, walecząc z głodem i naturą, z indyanami. Dotarł nareszcie do najpotężniejszego państwa Ameryki ówczesnej, do Peruwii, rzucił się zuchwale z garścią tak

śmiały jak on, jak on łupów złota żądnych towarzyszy, którzy znaleźli go tutaj tyle, że rozgłos o zdobycach Pizarra doszedł do ojezycznej jego krainy i nowe zastępy zuchwałych, z niczem nie liczących się awanturników, rzuciło się na nieszczęśliwe krainy. Wodzem był tu starzec już siwobrody, Pedro Alkan i wśród tłuszczy ciągnącej za nimi znajdowały się kobiety, dzieci, wieszono na wozach zapasy towarów, za które nabywano żywność i tak wśród sporów a często i walk krwawych między sobą, wśród trudów niesłychanych, czynów meztwa i okrucieństw, wołających o pomstę do Boga, bogata w najpyszniejsze dary natury—bogata zwłaszcza w złoto i srebro Peruwii została zdobytą przez Europejskich awanturników, co wszystko autor opisał w sposób bardzo zajmujący i w pewnym zakresie oświecający wiedzę młodego czytelnika a tłumacz oddał to bardzo dobrze, tak czystym i pięknym językiem, że czytając nie czuje się bynajmniej iż to jest przekład.

Przecież ze stanowiska pedagogicznego podnosi się tu zarzut jeden i to ważny: czy nie oddziała ujemnie na wyobraźnię młodą to uganianie się namiętnie za zdobyczą złota głównie — te okrucieństwa srogich podboi dla złota dokonanych? Ci dzielni rycerze, te napływające ich tu mnóstwa—ich trudy i walki czy dadzą sereu młodego czytelnika uderzyć goręcej, czy rozbudzą w nim tę fantazję szlachetnie górna, jaką budzić by mogły obrazy podobne z innym przecież gruntem moralnym, niż namiętny połów złota? Wprawdzie rzecz jest historyczna i podobne popularyzowanie historii daje młodym czytelnikom najpożyteczniejsze czytanie, bo nietylko zdobywają tu sobie coś wiedzy w tym kierunku, ale myśl młoda odrywa się od płaskiej powszedności życia, przecież względy moralnych oddziaływań powinny być bardzo pilnie strzeżone w książkach dla młodzieży, bo wpływy to są bardzo silnie działające na umysły świeże, na wyobraźnię zwykle bardzo żywą, bo nie użyta i zrywającą się dopiero do lotu.

M. I.

M G Ł A.

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

W pewnych naturach wrażliwych, rozstrojonych zwłaszcza nerwowo, zachodzą często zmiany tak nagłe i tak niespodziewane, że ludzie, jak Gajski, sami sobie sprawy z nich zdać nie umieją.

To opowiadanie Zenona, z taką cyniczną otwartością skreślające stosunek jego do Boryniczów, podziało na Gajskiego, jak dmuchnięcie w oczy lunatykowi.

Nie spostrzegł się sam, iż wszystkie krańcowe teorie wygłaszane przez Grotwicza, które mu śmiałością swoją imponowały dotychczas, olśniewały paradoksami, zostosowane i ujawnione nagle w życiowej praktyce, w takim fakcie konkretnym, rzeczywistym, spełnionym, nabrały jakiejś ohydy, przewrotności, odepchnęły go silnie od tego samego człowieka, który jako teoretyczny głosiciel i wyznawca swoich zasad wydawał mu się wielkim,—jako ich praktyczny wykonawca, bardzo niskim i marnym.

Argumentom jego sprzeciwiały się wrodzone instynkta Gajskiego i ta cząstka lepszej natury, odziedziczonej po matce, która bez rozumowania bez filozofii, po prostu złe złem, dobre dobrem nazywała a różnice między niemi odczuwała sercem.

Miał wrażenie, jakgdyby po raz pierwszy pozwolono mu powąchać kwiat jakiś niezwykłych kształtów i olśniewającej barwy, o którym nasłuchał się tyle w wykładach professorskich swojego mistrza, a którego odrażający zapach wstrętem go przejął.

Kiedy słuchał Grotwicza, rozwijającego ciętym stylem swoje idee i poglądy w dyskusjach ze słabszymi oponentami, ulegał mu, zdawał się być przekonany do głębi; jego sarkazm, jego sceptycyzm hypnotyzowały umysł Franka, niby owe migotliwe zwierciadła ustawione, jako wabik na skowronki.

— To lebi!.. to głowa!.. co to za człowiek! — powtarzał sobie wtedy z zachwytem niemal, ale gdy Grotwicz pierwszy raz wywabiony na osobistą spowiedź, zaczął mu opowiadać sam o sobie, sadząc się umyślnie na jeszcze jaskrawsze tony swego cynizmu, i przyznając do tego, co zrobił, w Gajskim nastąpił przewrót nagły przy zestawieniu pięknych słów z brzydkimi czynami i wtedy powiedział sobie:

— Cóż to za szubrawiec!..

Do jasnego ocenienia Grotwicza brakowało mu dotąd drugiej strony medalu, a kiedy mu przypadek ją odsłonił—mgła się rozdarła i ujrzał przed sobą coś brzydkiego i wstrętnego, co było wcielaniem teorii w realne kształty życia.

— Patrzaj — mówił mu jakiś głos wewnętrzny—to to tak wyglądają owe nauki i frazesy twojego mistrza, zastosowane w praktyce. A tyś się łudził, że to i mądre, i piękne, i niepospolite, i śmiałe, i takie nowe; dawałeś się porywać dyalektyką, zdawało ci się, że taki Zenon to jakieś poprawne wydanie człowieka, coś innego, a więc i wyższego, i lepszego, i doskonalszego od ciebie i od tobie podobnych. A tymczasem to szubrawiec pospolity, który do swoich marnych czynów i instynktów podorabiał tylko teorie i podszywa się jakimś urojonem aspiracyami, jakimś nowymi ideami o dążeniu do prawdy i wyswobodzeniu się z pod przesądów. Wszystko uznał za przesąd, bo mu z tem najwygodniej. A tyś go głupcze miał za proroka, za mistrza, za wzór nie do osiągnięcia!.. Kretyn byłeś; on ma słuszność, że cię tak teraz nazywa, nie masz się o co obrażać.

Rozeszli się tego dnia bez pożegnania i obaj czuli, że pękło między nimi coś, co ich z sobą dotąd wiązało i zbliżało.

Grotwicz wyszedł, splunawszy z pogardą i mruknawszy na progu zirytowany:

— I ja z takim bydlakiem żyłem w przyjaźni!..

Gajskiemu pierwszy raz w życiu zaświerzbiała czegoś ręka; gdyby mu jeszcze słowo powiedział, byłby go za kołnierz chwycił i za drzwi wyrzucił.

Został sam, zamknął się na klucz i wzburzony rozmyślał, chodząc w kółko po swoim pokoju, jak wilk po klatce.

Było mu źle; czuł, że ma gorączkę i że mu głowa pała a w ustach zasycha. Poszedł do szafki z książkami, otworzył ją, i z biblioteki, która mu służyła za podręczną piwniczkę, wyjął butelkę wina; nalał sobie całą szklankę i wypił.

To go jeszcze bardziej rozgrzało, zdjął krawat, odpiął kołnierz, bo mu się zdawało, że go dusi jak zaciśniona obroza,—zapalił papierosa i znowu chodził.

Nie umiał się wyplatać z tych sieci pogmatwanych myśli, które go osnuwały coraz bardziej.

— Po jakiego licha ja się tak bardzo tem przejmuję! — mówił sobie — Grotwicz jest szubrawcem to i cóż?... niech sobie będzie. Nie potrzebuję go znać więcej... Gardzę nim!.. będę się obywatel bez niego. Wielka rzecz!

Zatrzymał się i znowu sobie wina nalał do szklanki.

Przyszła mu jednak myśl, że z kimś przecież żyć trzeba.

— Trzeba?.. dlaczego trzeba?—rozumował, paląc jednego papierosa po drugim; — można się przecież obyć bez ludzi. Na co mi ludzi?.. sam sobie nie wystarczy, czy co?.. Żeby potem znaleźć drugiego jakiego Zenona, tylko głupszego, który mnie będzie nudził i w końcu okaże się także szubrawcem?.. Nie potrzeba, nie potrzeba, nie potrzeba.

Mimo to, czuł, iż taka samotność, niczem nie wypełniona, bezczynna, bezcelowa, apatyczna ma w sobie coś nieznośnego.

— I to się nazywa życiem!.. tfu! — szepnął półgłosem sam do siebie. — Robić mi się nie chce, ale i nie robić mi się już przykrzeć zaczyna. Czyżby ta moja stara miała słuszność, że w życiu trzeba mieć koniecznie jakiś cel przed sobą?.. Jaki?.. Sadzić kartofle, stawiać stodoły, siać owies dla koni a żyto dla ludzi, siedzieć na wsi i co rano wyzierać oknem, czy się nie zanosi na słońce, aby siano nie wymokło, lub na spiekę, aby buraków nie wypaliło?.. piękny cel, ale nie dla mnie. Więc co?.. chodzić tak z kąta w kąta i wędzić się w dymie, i gadać do siebie, jak waryat?.. także piękny cel, ale mi się już znudził. Więc co?..

Stał przed lustrem i spojrzał na swoje policzki rozpalone, oczy zapadłe, ale iskrzące jakoś niezdrowo, usta skrzywione z niesmakiem i włosy w nieładzie, bezwiednie powichrzane palcami, na szyję obnażoną i gorzko uśmiechnął się do siebie:

— Czy ja nie wyglądam, jak szubienicznik, urwany ze stryczka?..

Zwiesił głowę i myślał dalej.

— Co mi jest?.. coś mi się stało, nie rozumiem siebie. To zupełnie tak, jakbym wypłynął na głębie i zgubił wiosło. Ba, żeby choć jaka fala sama mnie poniosła, mniejsza o to dokąd, byle dalej; ale ani fal, ani bałwanów, ani wiatru, tylko mgła i cisza. Miła sytuacja, niema co mówić!

Aż się sam zdziwił, że westchnął tak głęboko; nie przypominał sobie, aby kiedy wdychał w ten sposób.

Strzyknęło mu coś w ramieniu i ból go ocucił z zamyślenia; zaczął sobie rozcierać ramię i zrobił uwagę:

— Ten Krempel jednak ma słuszność, żem zdechłak. O, co to za ramię!.. albo to ramię?.. to jakiś piszczel bez mięsa i mięśni. Tfu!.. chudy jestem, jak szczapa.

Podszedł do lampy, wyciągnął obie ręce i zaczął się im przypatrywać. Uderzył go ich bład, bezkrwisty wygląd, palce długie, trochę drżące, wydelikacowane, żyły nabrzmiałe pod cienką, jakby pergaminową skórą, dłoni szklista i pomarszczona.

— O, albo to ręce! — szepnął — albo to ręce!.. takimi rękami można co robić!.. chyba za klapki na muchy je używać.

Zacisnął pięść, jakby się chciał przekonać, czy dużo ma w niej siły, wzruszył ramionami i wrócił znowu do lustra.

— No i co dalej?... — powtarzał — i nic?... nie więcej?... a to dużo!

Roześmiał się głośno, odwrócił i poszedł rzucić się na nierozebrańe łóżko; ręce założył pod głowę, oczy zamknął i próbował zasnąć.

Z wzburzoną krwią napływały mu do mózgu wszystkie jady i narkotyki pochłaniane z książek, z rozmów, z nauk Grotwicza, bezładny chaos refleksyj, wspomnień, uwag nad samym sobą, pokruszone odłamki teorii oderwanych i życiowych faktów mieszały się w jego mózgu.

Po raz pierwszy nie mógł zasnąć spokojnie i głęboko.

Opuścił go najważniejszy środek na skracanie nudnego życia do—minimum.

*

*

*

U Pawłockich na górze od kilku dni panuje jakaś dziwna atmosfera; niby się chorej stanowczo polepszyło i to wszystkich raduje, a jednak Bóg wie, co się matce stało, jakaś smutna, apatyczna, zamyślona.

Nie odzywa się prawie do nikogo, tylko siedzi z oczyma utkwionymi w ziemię albo we własne kolana i zdaje się być obojętną na wszystko, co się dokoła niej dzieje.

Genia promienieje jednak, jak słońko; świeca w niej wszystkie myśli, a serce się uśmiecha nieustannie.

Prawie, prawie sprzeniewierza się matce, myśląc o swoim szczęściu i o Krempelu, ale myśl o ukochanym łączy się tak ściśle z myślą o tej najdroższej, najukochańszej, jedynej, że ich dwoje wypełniają tylko jej główkę i serce rozmarzone.

— Mój Boże, kiedyżmy raz tej mamie powiemy o wszystkim? — pyta narzeczonego: — ja już nie wytrzymam dłużej. Pan myśli, że ja umiem tak długo ukrywać co przed mamą, a ja nigdy nie takiego nie miałam w tajemnicy, czego by mama nie wiedziała od razu.

On się jej już nieznośnym wydaje z tem ustawicznym zwlekaniem; przychodzi teraz wprawdzie po trzy razy dziennie, niby pod pozorem troskliwości o swoją pacjentkę, którą bierze zawsze za puls, obsłuchuje, przykładając ucho do piersi lub do pleców, zaleca zawsze jedno i to samo, a na zapytanie:

— No, jakżeż pan dziś mamę znajduje? — odpowiada ni to, ni owo.

Genia zaś uśmiecha się do niego i dodaje:

— Prawda, że lepiej?... prawda?... a widzi pan, pan jest niedobry, tylko umiesz straszyć ludzi. Wasza cała medycyna nie jest warta. Od czasu, jak ja mamę wzięłam w swoją kurację i zaczęłam na intencję jej wyzdrowienia suszyć co sobota, zaraz się poprawiło.

Krempel nie chce jej psuć illuzji, więc tylko patrzy na nią i głową kiwa i przytakuje, jak dziecku:

— Prawda, prawda moja panienko; wszystko prawda, co pani mówi, choćby nawet nie było prawdą.

— O... a to znowu co ma znaczyć?... także!.. Kiedy prawda to prawda; przecież dwóch prawd niema na świecie, — mówi z miną umyślnie nadąsaną i jakby urażona odwraca od niego główkę, ale z pod oka patrzy, czy się nie obraził. Za nic w świecie przecież nie chciałaby mu zrobić przykrości.

Krempel zaś uśmiecha się do niej pocziwie, ale wdycha czegoś przytem.

Pawłocka nie bierze udziału teraz w rozmowie z nikim; siedzi nieruchomie, cicha, mileżąca, jakby się bała odezwać — zdaje się tylko rozmyślać.

Od czasu do czasu podejździe do niej które z dzieci, polasi się, jak kociak, pocałuje ją w rękę, szepnąwszy tylko czule: „mamusiu!..“ i odejździe, aby jej nie męczyć, bo Genia na to nie pozwalała.

Ona sama krząta się jedynie przy chorej i jest na jej wyłączne usługi; niekiedy, widząc tę zadumę i ten głęboki, smutny jakiś, wyczekujący wyraz twarzy, podchodzi do niej, klęka przy jej fotelu i zaglądając w oczy, pyta troskliwie:

— Moja mamusiu, czy tobie co jest?... czy cię co boli? czemu ty tak mileczysz ciągle, o czem ty tak myślisz, moja mateczko?..

Chora próbuje się uśmiechnąć najłagodniej, jak tylko może i uspakaja córkę:

— Nic mi nie jest.

— Na prawdę nic?

— Na prawdę.

— Jak mnie mamusia kocha?..

Matka delikatnie gładzi jej włosy na skroniach i odpowiada skinieniem głowy; ale patrzy tak jakoś na Genię, że jej lzy cisną się do oczu.

I dziewczyna obejmuje ją w pól, przytula twarzyczkę swą do jej piersi z rzewną pieśczęcią a ucho skierowuje umyślnie w stronę tego biednego serca, w którym zdaniem doktorów siedzi ta cała brzydka choroba, która im wszystkim tyle niepokoju sprawia.

Kiedy usłyszy, że to serce bije, jak zegarek narzęcony, uspakaja się i myśli:

— Przecież to nie może być, żeby się tam coś zepsuło. O, jakto słyhać: buch, buch, buch!.. tak, jak u każdego z nas. Mój Boże, mój Boże, kiedyż to raz zupełnie dobrze będzie, przecież musi być lepiej kiedyś!..

Zapomina o tem, co jej Krempel powiedział, że sercowe choroby w takim stadium bywają nieuleczalne. Zapewne, medycyna nie ma na to środka, ale Pan Bóg to większy doktor od wszystkich, bo on robi cuda.

Niech tam sobie Krempel mówi, co chce, nie można dłużej ukrywać przed matką, że się oświadczył. Jakżeż to może być, żeby ona tak późno o tem się dowiedziała?... ona ich przecież musi pierwsza pobłogosławić, to ją zaraz ożywi, ocuci z tej przykłej zadumy, to ją może uleczy od razu.

Robi przeto formalną scenę narzeczonemu i grozi mu, że rozmawiać z nim nie będzie, że go widzieć nie chce, jeżeli jej każe dłużej z tą tajemnicą chodzić po świecie.

Nalega wreszcie tak, że chcąc nie chcąc, musi ustąpić.

Postanawiają wreszcie, iż wieczorem powiedzą wszystko matce, potem dopiero ojcu a dzieciom to na samym końcu.

Krempel ma przybyć o siódmej. Genia spogląda ciągle na zegarek i niecierpliwi się, że te wskazówki łażą powolniej od ślimaka. Nałożyła matce świeży czepeczek, ubrała ją w nowy szlafrok, który wczoraj właśnie uszyła dla niej, zawiązała jej jakiś kremowy fular na szyję; chce, aby mamusia była na taką uroczystą chwilę wystrojona. Sama wdziała swą czarną sukienkę ze stanikiem, włożyła nawet korale, ufryzowała sobie grzywkę i wygładła prześlicznie z temi rumieńcami na licach, świeżutką, jak poranek majowy.

Bije akuratnie siódma na ściennym zegarze, który syczy, warczy, chrypie zawsze tak jakoś przy uderzaniu godziny, jakby ją wyszczekiwał ale nie wydzwaniał.

— Ach, ten zegar, to taki cham! — powtarza zwykle Genia, rzucając na niego spojrzenie zagniewane; wyrzuciłaby go już dawno za okno, gdyby jej nie było żal wydatku na sprawienie nowego.

Pawłocka patrzy na córkę i poznaje po niej, że jest jakaś inna, niż zwykle.

— Coś ty dziś taka niespokojna? — pyta ją słabym głosem — czekasz na kogo?

Genia odwraca główkę i starając się być objętną, odpowiada:

— O siódmej ma przyjść doktor.

— To przyjdzie; on się nigdy nie spóźnia.

W tej samej chwili słyhać dzwonek u drzwi i Genia biegnie do przedpokoju na spotkanie Krempela, którego jakby z wyrzutem wita słowami:

— A ślicznie, już dziesięć minut po siódmej!..

Podaje mu rączkę i staje przy nim tak blisko, że prawie opiera się o niego. W przedpokoju jest ciemno, tylko z podwórza przez okno wpada trochę blasku z latarni, która się świeci nad ich sienią.

Główka dziewczyny nachyla się ku narzeczonemu instynktownie a on składa na jej czole długi, gorący, miłosny pocałunek, pod którego wrażeniem dziwna błogość opływa ją całą.

— Zaraz pójdziemy do mamy, — szepcze mu do ucha — dobrze?

Zamiast odpowiedzi przyciska ją mocniej do siebie i całuje w zamknięte oczy.

Po kilku chwilach wchodzą oboje do pokoju matki; Genia nie wie jak i dlaczego wzięła go pod ramię poufale i prowadzi do chorej, która wcale tem nie zdziwiona, wyciąga rękę ku kochanemu doktorowi, jak do najmilej widzianego gościa, co jej przynosi chwilę nadziei i uspokojenia.

— Dobry wieczór, konsyliarzu, — mówi na powitanie. — Nie widzieliśmy się tyle godzin.

Genia puszcza ramię doktora, zniża się do kolana matki i całuje ją w rękę; czając się za poręczą fotelu zaczyna nieśmiało, dziecięcym, pieśczętliwym głosem:

— Mateczko, my mamy mateczce coś powiedzieć.

Pawłocka nie rozumie, do czego to zmierza.

— Czy aby co dobrego, moje dziecko? — pyta.

— O, bardzo dobrego; zobaczy mamusia, że mamusię to ucieszy. To niespodzianka!..

Głos jej drży; zrobiła wszystko, co do niej należało; serce jej tak mocno bije, że omal stanika nie rozsądzi.

— No, niechże pan teraz mówi! — zwraca się szeptem do Krempela.

Oboje jednak są tak pomieszani, że słów znaleźć nie mogą, jakby chodziło Bóg wie o jakie straszne wyznanie.

— Mateńko! — przymila się dziewczę, pochylając główkę do kolana matki i nieznacznie mrużąc na narzeczonego, jakby go ośmielała:

— No, mówże pan nareszcie, czegoż pan stoisz, jak figura!..

Krempel schyla głowę i składając pocałunek na rękę Pawłockiej, odzywa się:

— Przyszliśmy przed panią wypowiadać się z naszej tajemnicy.

Chora podnosi na niego oczy i wzrokiem go pyta, co to ma znaczyć?...

— Cóż to za tajemnica? — szepcze, uśmiechając się do doktora.

— O, to wielka tajemnica, mamusiu, — odpowiada Genia, spoglądając z pod oka na matkę, — to taka tajemnica, że tylko ty i tatko może o tem wiedzieć.

— Widzi pani—mówi Krempel, trzymając cięgle w obu dłoniach rękę Pawłockiej — jakoś to tak się zrobiło, żeśmy się... z panną Genią... pokochali, — dodaje powoli, delikatnie, jakby ją chciał na tę wiadomość przygotować. — I daliśmy sobie słowo, że się pobierzemy. Oto cała nasza tajemnica.

Po twarzy chorej przebiega nagle błysk, jakby gasnącej lampy, otwiera szeroko oczy, które zachodzą łzami, ręce jej drżą, usta drżą, pierś podnosi się, jakby wchłonać chciała powietrze z całego pokoju, przez chwilę nie może przyjść do siebie, nie może głosu znaleźć, nie może uwierzyć własnym uszom; spogląda na te dwie głowy, które się przed nią skłoniły i tula do jej drżących kolan, czekając, żeby na nich położyła ręce z błogosławieństwem, a jej jakaś światłość wielka, jakaś błogość niebiańska spływa w duszę, serce uderza silniej radością, jakiej nie spodziewała się już doznać w tem życiu, pełnem tylu cierpień i tylu udęczeń.

Łzy, płynące dotąd ukradkiem spływają jej teraz po licach, ale łzy jakiegoś słodkie, rozkoszne, łzy szczęścia.

— Moje dzieci, moje dzieci—mówi głosem na poły żalonym, na poły zachwyconym — niechże was Bóg najwyższy...

Ostatniego słowa jednak nie może dopowiedzieć, silna czkawka przerywa jej mowę, ręce drgają, głowa opada nagle na piersi; i milknie nagle, jakby jej głos niewidzialna ręka zdławiła w krtani.

— Mamu, mamusiu, — Jezus Marya, co mamusi się stało! — zrywa się z krzykiem przerażona Genia, podczas gdy Krempel przestraszony i zaniepokojony, przytyka ucho do lewego boku chorej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

CXIII.

Te Panny (Le vergini), komedia w 4-ach aktach, autor *Marco Praga*, tłumaczona z włoskiego—w Teatrze Romaitości, d. 5-go Grudnia. *Hedda Gabler*, sztuka w 4-ach aktach, z norweskkiego *Henryka Ibsena*, w Teatrze Wielkim, d. 10-go Grudnia.

Pierwszy raz dopiero nazwisko Marka Pragi zjawia się na afiszach warszawskich. Jest to jeden z wybitniejszych dziś Włochów, w ogóle nie jaśniejących talentami dramatycznymi—w dobie obecnej; ale wybitności tej nie widać na jego *Pannach*: komedia, jako utwór sztuki, niezależny od pobudek twórczych ma więcej zręczności, znamionującej robotnika dla sceny, niż siły, świadczącej o talencie do dramatu.

Praga ma być realistą, to znaczy pisarzem nieprzebierającym w objawach życia wprowadzanych do sztuki i wprowadzającym do niej z zamiłowaniem te, z których wyskakuje *la bête humaine*, czy to w obrzydliwości swojej, czy w obojętności moralnej, czy wreszcie w fizycznym tylko i fizyologicznym istnieniu. Takiego realizmu w nowej komedii nie widać, a jeżeli go w czem dopatrzeć się można, to chyba w samym temacie, ukazującym rodzinę z matki i trzech jej córek na poziomie wcale nie wybrednej moralności. Tu przecież, zdaniem mojem, nie autor szukał przedmiotu, ale przedmiot poszukał autora. Cały sposób opraco-

wania *Tych panien* pozwala mi mniemać, że Praga zabierał się do swej komedii, nie z animuszem sekciarskim tej lub owej szkoły artystyczno-psychologicznej—jaką jest np. szkoła Zoli, szkoła teatru Antoine'a w Paryżu, „Freie Bühne“ w Berlinie lub włoskich Werystów (oni jedni tylko mają w sobie prawdę!) do których i Pragę zaliczają — ale z sercem i umysłem satyryka pragnącego zło dostrzeżone w społeczeństwie wychłostać. Chłosta mu się nie udała; nie winien temu jednak ani nadmiar ani niedomiar realizmu; winien jest niedostateczny rozwój siły twórczej. Praga umie malować zjawiska, —nie umie rzeźbić człowieka, w komedii zaś poważnej, satyrycznej, to rzeźbienie, nadające charakterom głębokość, a od pewnego punktu i oryginalność—jest niezbędnem dla dzieła, które ma zająć i wzruszyć.

Nie umie Praga plastycznie przed oczy stawiać charakterów zwracających na siebie uwagę samą swoją bryłowatością. Niema nawet w jego sztuce choćby tylko zarysowanych, ale przytem koniecznych już oryginalnych postaci — koniecznie, bo gdy już raz rysunek zrobiony jest na płaszczyźnie, za brak rzeźby wynagrodzić może widza tylko rysunku oryginalność. Cóż więc umie, co może, nowy dla nas autor? Umie patrzeć na zjawiska życia, rozumieć je i odtwarzać, umie się ruszać po scenie: ma znajomość sceniczności, ma pewien kunszt efektów, okazujących się tutaj we finałach aktów, jakgdyby tradycje włoskie z opery przenieść się chciały do dramatu. Komedia Pragi obywa się bez komizmu, dowcipu w niej ledwie na pokaz, humoru wcale, conceptów trochę, więcej sarkazmu, a najwięcej stylistycznej dosadności w wyrażeniach. Słabą satyryczność *Tych panien* do reszty zaciera we wrażeniach słuchacza dramat serce, poważny, nawet tragiczny, rozsnuwający się na tle z obyczajów współczesnych wytworzonem. Ludzie komedii nie mają oryginalności, są ubodzy, szarzy i płytki—przeciętni ludzie jednego z większych miast włoskich. Ludziom dramatu sama już niezwykłe napięta sytuacja nadaje indywidualną wyrazistość, ale własny psychologiczny ich ciężar gatunkowy nie jest zbyt wielkim.

Bajka w *Tych Pannach* zbliża je ogólnym pomysłem nieladu w domu i w duszach do *Rodziny Benoitonów*; tylko tam, w sztuce Francuza, czuć pałające ciepło życia, widać ludzi żywych i proces ich upadku udratyzowany przez objawy właściwej mu psychologii; tutaj, u Pragi, wszystko odbywa się na zimno, jakby na zadany temat, a same dusze są tak wątłe, maluczkie, że upadek ich nie wzbudza zajęcia, bo nie może już być upadkiem, jeno ześlizgnięciem się w dół. Jedna tylko Paulina, najstarsza córka p. Delfiny Tossi, ofiara namiętności, żywiej zajmuje i dla niej to autor wytworzył ów dramat zaczepiający o komedię. Jest to kobieta nieszczęśliwa, a przytem natura głębsza i delikatna, subtelniemi, w stosunku zaś do egoizmu odśrodkowemi rządząca się pobudkami. Kochając np. szczerze człowieka (Dario), którego niegodną się czuje, a, jak owa w *Odwiedzinach* Brandesa, nie śmiąc mu nieszczęścia swojego wyznać, pragnie jego czystą dłoń uchronić od brudnego dotknięcia niegodziwca Vercelliniego, który przesuwając się tylko jak cień w samym początku sztuki, i teraz dopiero w końcu III aktu ma wejść na scenę i wszedłby istotnie, gdyby mu Paulina drzwi nie zagroziła. Ten właśnie gwałtowny jej poryw sprowadza skutek, jakiegoby oczekiwać można tylko od rdzennej, ale bez bohaterstwa na wierzch wybić się niezdolnej uczciwości. Ukochany Dario nie potrzebuje już słów, zwierzeń, spowiedzi: wie wszystko, wie czego wiedzieć nie pragnął, co jednak wiedzieć potrzebował, jeżeli obie strony miały z dobrą wiarą stanąć przed ołtarzem.

Ostatecznie iści się nad tą Pauliną, najlepszą z trzech córek pani Tossi, prawo zarazy moralnej: powietrzem takim, jakie w domu jej panuje, enota długo oddychać nie może. Dobre jest zestawienie jej rozpaczki z sowizdrzalską lekkością jej siostry Nini, która nie pojmuje nawet, jak można zamyślać się i smucić — ona, co skończy na przyjęciu *engagement* do jakiejś operetki wędrowniej i, jak teraz w zakończeniu aktu II-go, zawsze na ziemię aż pokładać się będzie ze śmiechu nad

tą rozpaczającą siostrą—waryatką: uosobiona płochłość. Jestto moment silnie przemawiający w sztuce.

Praga zakończy swe *Vergini* inaczej, niż nieznanym jeszcze autor konkursowej *Nauczycielki*, która podobała się bardzo w Warszawie. Tam doktor Barski nie cofa się przed małżeństwem; tutaj Dario skalę zamiarów swoich tak znacznie zniża, iż jego rozmówienie się ostateczne z ukochaną, będąc dla Pauliny srogą karą za przeszłość, dla niego samego i przeciwko niemu jest aktem oskarżenia o cynizm bryzgający na tak świeżą jeszcze przeszłość własnego serca. Cynizm ten w żaden sposób nie przypada do tego charakteru. Kunsztu efektownych finałów, chciał autor dowieść i w zakończeniu całej sztuki: Dario nasadza kapelusza na głowę i na znak pogardy w kapeluszu z pokoju ukochanej wychodzi. Efekt taki jest tylko lichą sztuczka. Niegodna propozycja powinna była subtelną Paulinę razić jakby piorunem, a zakochany uczciwie z pewnem bohaterstwem serc młodych, lekceważących społeczeństwo i opinią musiał być do takiej niegodziwości niezdolnym. Zwrot końcowy zaokrąglą wprawdzie pomysł *Tych Panien*, pogłębia go niewątpliwie i roziskrza przeznaczenie ciągnące na złych gniazdach; ale autor miał obowiązek dla iszczącego o się tu prawa moralnego, dla sprawiedliwości przywracającej równowagę, innego poszukać wtelenia, innego organu. Dario, aż do owego kapeluszu finału, jest zanadto zakochanym, zbyt czystym i uczciwym.

Z innych postaci żadna nie przykuwa uwagi. Mama Tossi jest nader pospolitym nietoperzem kobiecym. Vittorio Olgiatti, — sensat, rezoner i libertyn, przypominający typowego doktora komedii włoskiej, margrabia Zappi, stary zdechłak, zamiast o grobie myślarz jeszcze o kobiecie; Corrado Cantoni, nie myślarz o niezem i nie też nie robiący w sztuce; fryga Selena, trzecia córka pani Tossi—same nazwiska, same frazesy lub rysy już wytarte, ani jednej indywidualności duszą własną żyjącą.

Te Panny nie wygrały sprawy u naszej publiczności. Zdolni do spostrzegania rzeczy głębszych wcale ich tu nie znaleźli; niezdolni daremnie spodziewali się czegoś z pornografii; ani jedni ani drudzy nie bardzo się zabawili komedią a wrzucyli dramatem. Możeby utwór zyskał na tem, gdyby zamiast pani Borkowskiej mamą Tossi, a zamiast p. Nowickiego Dariem był kto inny; niezawodnie też panna Marcello — zbierająca właśnie bukiety w *Nauczycielce*, — zagrałaby lepiej Paulinę od panny Noiret; ale tak podnosząc wartość samego przedstawienia, nie wkupiłoby się jeszcze sztuki Pragi w łaski publiczności.

P. Rapacki przypysznem ucharakteryzowaniem się na starego zbereznika dowiódł swego mistrzostwa w tym powieście sztuki scenicznej—a powiat nie jest przecież jeszcze całą krainą — zrobił jednak, już nie starość, lecz próchno wręcz nieprawdopodobne. P. Nowicki stara się być coraz lepszym, powinien jednak ciągle jeszcze, niezmordowanie pracować nad głosem swoim, nie szczedzić ani miechów, którym przecież nie braknie siły, ani samego organu głosowego, któremu natura nie odmówiła młodzieńczej brzmienności. Głos ciągle jeszcze dopuszcza się jednego z siedmiu grzechów głównych: ucieka od pracy i ciągle jeszcze najważniejszym zadaniem artysty jest odważne pogłębienie go i wyróżniczkowanie, zaopatrzenie w rejestra wrażeniowe i uczuciowe, zastosowane do wymagań, do nakazów żywego życia, gdzie przecież każdy ruch, każde drgnienie, każdy stan psychiczny ma swój umysłny rejestr głosowy. Deklamacja p. Nowickiego jest jeszcze za płytka, za uboga, trzyma się ciągle jednego poziomu. Weszło już w nią trochę ciepła — niechże go będzie jaknajwięcej, a przy niem i jaknajwięcej też głosu! P. Nowicki ma go w sobie, tylko wydobyć go z siebie na wierzch potrzebuje.

Nowe wystąpienie Ibsena na scenę warszawską nie podniesie uznania, jakie ten rzeczywiście genialny, ale jakby teratologiczny, ku potwornościom zwrócony, umysł wyrobić sobie już u nas zdołał — lub nie — swojemi dwiema dawniejszemi sztukami: *Nora* i *Podporami społeczeństwa*. Przedstawiona obecnie, jedna z ostatnich w kolei tworzenia, przed dziesięciu laty napisana, *Hedda Gabler* cierpi na wspólną z innymi niemoc: brak szczerego,

jędrnego życia. W *Heddzie* Ibsen jest mniej niż w innych tendencyjnym; człowiek myślący i dowodzący zostawia tu więcej miejsca poecie, — ale cóż z tego, kiedy poeta ze swobody swej nie korzysta tak, jakby to uczynił talent rdzennie dramatyczny! Ulubiona patologiczność pomysłów w *Heddzie* wydaje, już nie duszę chorą, ale nerwy cierpiące; zamiast być wstrętą egoistką, znużoną życiem, nienawidzącą świata, wrogą dla ludzi, niewiedzącą dokąd iść, czem oddychać i co kochać pesymistką, — bohaterka jest kobietą nerwowo rozstrojoną, którą przedewszystkiem lekarz wyleczył potrzebując, zanim ją poeta dramatyczny mógł na scenę wprowadzić.

Mimo tej wiary wytrwałej, jakiej Ibsen docho-wuje dramatycznej formie poezji i wbrew znakomitym nawet pomysłom i pojedynczym momentom równie głębokiej jak bujnej twórczości, — nie jest autor *Heddy Gabler* poetą rdzennie dramatycznym, a jako artysta — wykonawcą pomysłów poety, — nie jest też siłą doskonałą, niezawodzącą geniuszu, pomysłów pierwszego rodzica. Poetę dramatycznego trzyma w niewoli myśliciel, filozof, krytyk natury ludzkiej, indywidualnej i społecznej, postannik prawdy, apostoł ludzkości; talentowi w ogóle nie pozwala skrzydeł do lotu rozwinąć lub ołowiem je obciąża mądrością, występującą w swej najniewdzięczniejszej postaci — mędrkowania. Poeta zawiele dowodzi, zamało wzrusza. Rozumu jest w tych oryginalnych, znikąd nie czerpanych, żadnymi wzorami, żadną metodą lub szkołą, nie rządzących się utworach więcej, niż go sztuka — poezja znieść może, i symboliki też jest w nich więcej, niż prawdziwych, zaokrąglonych w sobie i duszą własną, a nie myślą autora, żyjących charakterów. Nadmierny, w olbrzymia wyrosły subiektywizm rozumowy Ibsena stał się dla jego talentu dramatycznego prawdziwym rozbójnikiem. W każdym jego dziele — mówię o tych dziełach, dziesięciu, które znam — podziwiać potrzeba jakąś jedną postać świetnie zindywidualizowaną, jakiś szereg momentów rzetelnie mistrzowskich; ale na tak wielką oryginalność, tak wielką szczerłość i bohaterstwo myśli, na taką potęgę wzroku, patrzącego w życie, w świat, w człowieka — liczba charakterów rzeczywiście sprawujących wrażenie ludzi żywych w całości jest niewielką, a sztukę zadawalniającą w całości, nie w szczegółach — choćby tylko jedną, bodaj czy znajdziemy. Wspaniałą, tytaniczną budowę ma *Brand*, i jest to najwyższy dziś może pod względem ideowym utwór współczesny. Demoniczna siła jego indywidualizmu łączy się z tak głębokim odczuciem idealnych praw rządzących społeczeństwami i całą ludzkością; teza główna: *in omnibus caritas* jest tak plastycznie i wzniosłe przedstawiona — że książkę tę bierze się do ręki raz i drugi i powraca się jeszcze do niej i jeszcze się ją odczytuje, i jeszcze się w niej znajduje perły i diamenty, czarne perły i czarne diamenty, bo inni ponury ten umysł nie darzy, a co ważniejsza, w tej wspaniałej epopei woli daje Ibsen tym, co żyć zaczynają, płomieniste miecze prawdy do walki.

Można takiego poety nie lubić; znać go i uznawać potrzeba. Jego satyra na społeczeństwo, na poszczególne warstwy społeczne, zakresy i prądy życia publicznego Norwegii — jest równie bezlitośna, jak chłosta wyprawiana egoizmowi ludzkiemu, odziewającemu się w owczą skórę dobra ogólnego, dążeń społecznych, miłości porządku i uczuć humanitarnych. Gdzie idzie o zderzenie maski z fałszem, z maluczkim sobkowstwem, ze zgnilizną, tam staje Ibsen z myślą swoją, niestrudzoną w walce, z piórem zaprawionem do boju. Niczego nie zostawia nietkniętem: i idee politycznego bytu swej ojczyzny, gdy mu terazniejszość nie wystarcza, w obrazach przeszłości przedstawia. Duch buntowniczy, nieuznający powag, niezestępujący nigdy między szaraczków, stanie w obronie Katyliny, uczuci Apostata, przetworzy według własnego widzenia i pragnienia dzieje swego narodu, aby nam ukazać idącą na przebój wiarę Hakona, potężną wolę biskupa Mikołaja. Wszędzie jest sobą, wszędzie rozumowi daje pierwszeństwo przed rozsądkiem, tendencji przed artystycznym pięknem, w głosie życia nie dba o harmonię piękną; ludzie, nawet ci, których

w plastykę indywidualnie żyjącego człowieczeństwa wyposażył, — dla niego istnieją raczej jako symbole jego myśli, niż sami dla siebie — dla czytelników i widzów.

Wyżej już scharakteryzowana ułomność Heddy Gabler potęguje się jeszcze przez jej otoczenie. Obok takich dramatycznie wstrząsających pomysłów, jak cichy szept Lövborga w akcie II, wołającego na panią Tesmanową panińskim jej nazwiskiem: „Heddo Gabler“, obok wybornej symboliki stanu duchowego bohaterki przez samo ukształtowanie Tesmana w uczonego badacza przemysłu brabanczkiego, obok doskonałych rysów lichy letkiewiczowskiej natury dawnego kochanka, a bezwarunkowo już nawskroś prawdziwej i pociągającej postaci Tei Elvsted — znajdują się takie dziwolągi, jak cała przygoda z manuskrytem rozprawy o cywilizacji, „dzieckiem“ Lövborga, i jego i Tei, — użyta za oś obrotową dla intrygi, dla dzikiej nienawiści i zazdrości Heddy Gabler; jak zastrzeżenie się Lövborga, ani potrzebne ani wymowne; jak czuwanie całonocne kobiet i wizyta poranna wszystkich uczestników wesolej pohulanki u Braka: wszystko co życie wyobrażone w sztuce czyni nieszczerem a sztukę samą — niesmaczną. Dramat zbudowany według zasady doskonałej jedności miejsca i czasu zyskać właściwie mógł tylko na rozerwaniu tej jedności. I Lövborg wypukle-by się oczom przedstawił w towarzystwie dwóch innych mężczyzn krążących naokoło Heddy, i dramat wogóle wzbogaciłby się motywami psychologicznymi, i sama Hedda, niekrepowana ciąglą obecnością męża, mogłaby mieć z Lövborgiem scenę inaczej, lepiej, głębiej udramatyzowaną. Zemsta przez spalenie manuskryptu odpowiedniejszą jest dla historyczki, niż dla natury demonicznej, zamkniętej w kobiecego Hamleta, jaką Ibsen w pierwotnym, więcej jeszcze odczuwanym, niż kształtowanym, pomysle niezawodnie mieć musiał. Jako doświadczony praktyk, urzędowy poeta teatralny i dyrektor artystyczny (1851—1866), obeznał się Ibsen z wymaganiami sceny i krytyka słusznie chwali jego tak zwaną technikę sceniczną w *Heddzie Gabler*. Ton tych pochwał zniżył wszakże potrzeba ze względu na szkodliwą dla Heddy jedność miejsca i czasu, — bez której nowożytna sztuka dramatyczna, wyższa od klasycznej i pseudoklasycznej, doskonale obywać się może i powinna.

Pani Lüde nie wywiązała się ze swego zadania tak, jak tego po niej spodziewać się było wolno: nie pojęła nawet Heddy Gabler; zrobiła z niej złośnicę, grymaśnicę, dziwaczkę, historyczkę — ale nie tę Hedde, którą miał przed sobą poeta, gdy tworzył bohaterkę sztuki. Tosamo, że tak myśląca artystka, jak p. Lüde, mogła Heddy wcale nie pojąć, wskazuje, że poeta nie wykonał jej tak, jak ją w świadomości swej widział i rozumiał; ale cała niedoskonałość twórcy nie zdołała jego scenicznego tłumacza uwolnić od odpowiedzialności za niezrozumienie zasadnicze, przeistaczające zupełnie charakter. Pojęcie Heddy jako postaci, którą odgadywać potrzeba — przyjmując już jej mętność i mglistość za pewnik — było płytkie. Nic z tego, co chciał poeta wrazić w nią, a czego już dotykalnie w plastyce scenicznego nie wyraził, nie wyszło w grze pani Lüde. Artystka zamała nad rolę myślała, zamała ją opracowała; nie zagłębiała się w nią: wzięła to, co było na samym wierzchu — i z tego złożyła charakter Heddy. Przy rozumem wnikiem w rolę, przy cierpliwości i pracy — Ibsen nie okazałby się takim znowu dziwką, za jakiego wzięła go publiczność, a jego Hedda zasłużyłaby sobie na lepsze miano, nie to, jakie się dostawało od wychodzących z teatru: „historyczka.“ Zapewne, jest tam i historia, ale jest i coś więcej. Pomijam przesadne zachwyty i sofistyczne zamilczenia takiego pana Ehrharda, który w całym tomie poświęconym Ibsenowi jest raczej przyjacielem autora, niż urzędnikiem prawdy; ale nie mogę nie przytoczyć zdania koleżanki pani Lüde w zawodzie scenicznym, panny Brandès: „Życie wydaje się jej brzydkiem i lichem, zbyt banalnym dla jej wyniosłej duszy. Szczęście, zadawalniające massy, jest dla niej wstrętnem. Szczęśliwą może być tylko istota niższego rzędu. Dobroć wymaga pewnej mierności moralnej, a przed nią właśnie wzdryga się Hedda,

zdolna odważyć się na coś więcej, zdecydowana raczej na złe, niż na upośledzenie.“ Zdanie to przystaje rzeczywiście do charakteru Heddy. Szkoła, że już nie czas się nad nim zastanawiać.

Inni artyści robili swoje. P. Ładnowski jako Lövborg miał w III akcie scenę gorętszą, p. Kotarbiński jako Tesman, mąż Heddy, zanadto myślał o pedantyzmie brabanczusa, ucharakteryzował się zaś dobrze. Panna Barszczewska starała się oddać uczuciową czystość Tei Elvsted. Pani Borkowska uwydatniała dobrze pocziwe rysy starej ciotki, niezałującej siostrzeńcowi ani serca, ani grosiwa, jakie zebrała. P. Leszczyński był udatnym Brakiem, radcą sądowym ubiegającym się o posadę przy sercu Heddy.

Stanisław Krzemiński.

DNE DOROCZNYCH UROCZYSTOŚCI

RODZINNYCH

(ze wspomnień młodości).

(Dalszy ciąg).

Aleja lipowa, niezbyt szeroka, cienista, nieco wężowato wijąca się, długim torem biegła ku domowstwu p. R. Pod sklepieniem lip wyniosłych rozlegały się zwykle klaskania z bicia, tak bowiem woźnice przybywających powozów mieli w obyczaju zapowiadać przyjazd nowych gości. Jeszcze z ganku domu, nie tylko dojrzeć, ale nawet domyślać się nie można było nowych przybyszów, a już z alei dobiegał odgłos zręcznych figłów sztuki furmańskiej. Pospolicie po owych odgłosach klaskania nie dość, iż dowiadywano się o przyjeździe nowych gości, lecz niektórzy z dworskiej starej służby umieli nawet odgadywać, kto przyjeżdża. W sztuce odgadywania dochodzono niekiedy do biegłości niezwykłej; ucho wprawne nigdy prawie nie zawodziło.

— Oho, szeptał stary Jan, lokaj od pół wieku — pewnikiem nikt to inny, jak ten Grześ, stary niedołęga; biec ma z kłaków, klaszcze zwykle jak baba... Niema jak furman starościnski z Semerynek, szczególnie dawny, albo z Klitny, naszej pani Walery, lub pana Numa, z Łabodyniec, to, panie, tego ten, iż miło posłuchać... bęc, bęc... Albo jak p. Walery, z Żołobnego, kiedy swą czwórka zawinie, to dopiero huknie z bicia, a odgłos idzie po całej grabinie... Poznają go zawsze po jednym kłaśnięciu, chociaż się tu rzadko pokazuje...

Uwagi starego Jana milkły pospolicie, gdy na ganku stawała niespodzianie postać wyniosła, ale jakaś zawiędła, nieco ponura, sztywna, jakby marsowata, rej wodzącego w stajni koniuszego Zbrozka; zaliczał się on do przedniejszych sług domu. Znał się na koniach, ich przymiotach, narowach — no, rozumie się, i na klaskaniu z bicia, i nie pozwalał służbie kredensowej robić żadnych uwag w zakresie swych specjalnych wiadomości i zajęć.

Zapewne i nasz przyjazd byłby poprzedzony prognostykami, czerpaniami z ech owego klaskania, gdyż najeźściej już w ganku sieni domowstwa witała nas pani domu, a na schodach stała cała służba i ten lub ów z gości, których tam nigdy nie brakowało.

Dom pani R. z aleją lipową, z laskiem grabowym, który długą ścianą osłaniał starą siedzibę, z kaplicą wsuniętą nieco w lasek, a witającą przybyszów u bramy, z licznymi officynami, co się rozbiegły na znacznej przestrzeni poza dworem i nosiły każda oddzielną nazwę, z ogrodem zamykającym jedną połać dziedzińca, podczas gdy lasek drugą zamykał — tworzył jakby osobną dzielnicę wioski, odbiegł od niej daleko. Potrzeba było przebieść przestrzeń niemalą, z głównego na drugorzędny przejść dziedziniec, co obojęcie tworzył dla officyn, minąć jeszcze bardziej w głąb, poza

dwór, wsunięty folwark, i całą ciżbę zabudowań gospodarskich, toków, obór, aby wreszcie dojść do wioski. Wieś miała wcale inny dostęp i wjazd do swych ulic i siedzib. To oddalenie pozornym tylko było... O ile przestrzeń oddalała, o tyle nicy ciągłego stosunku i wewnętrznej sympatii łączyły wieś z dworem; ścieżki jednoczące nigdy nie zarastały. Nietylko wspólne interesa przy czyniały się do ich wydeptywania, ale poczucie obowiązku i obyczaj łączyły dwa te różne wiejskiego życia ogniska. Wszystko tak się składało: dawne tradycje i tysiączne, maluczkie, napozór nie znaczące sprawy i urządzenia obyczajowe potrzebę stosunku ciągłego wytwarzały i ustalały.

Nie pracowano nad tem, jak się nie pracuje nad ustaleniem stosunku w uczciwej rodzinie między ojcem a dziećmi: stosunek sam się nawiązywał, trwał, był czemś zwyczajnym, powszednim; nie dziwiono mu się, jak się nie dziwiono, iż tarcza słońca codziennie spieszy na spoczynek do głębin grabowego lasku, a nazajutrz wylania się z poza ogrodów, z poza dalszych horyzontów, gdzie świeciły białe szeregi chat wieśniaczych.

*

*

*

Zanim rozpatrzmy się wśród dworskiego obejścia i dworu, zanim do jego izb, niezbyt obszer-nych, wejdziemy, rzucmy okiem na przeszłość pani tego domu.

Pani R., jak wspomnieliśmy na pierwszych kartach niniejszego wspomnienia, przyszła na świat w połowie ubiegłego wieku, a nawet sięgnęła nieco wstecz poza połowę. Mierny stan szlachecki podścielisko tworzył jej rodzinnego ogniska. Starszą była w rodzinie i dość późno opuściła skromne progi ojcowskiego domostwa, by stać się małżonką zrujnowanego już nieco materialnie wdowca, który wszakże świecił jeszcze, acz nikającym, blaskiem dawnego mienia.

Poznanie się z wdowcem było przypadkowe... Stało się to około 1777 roku. Wszystko działo się jak w bajce starych piastunek, lubo opowiadam tu rzecz prawdziwą najzupełniej, na tradycjach rodzinnych opartą.

Przyszła pani R. wraz z matką odbywała jakąś podróż, niedługą wprawdzie, bo w okolicy sąsiadującej z niemi, ale uciążliwą, za dni jesiennych, po drogach złych, mostach chwiejących się, groblach wązkich i ślizkich od ciągłej słoty. Zepsucie się powozu uzupełniło niewygodę, przykrości podróż, a gdy nie znaleziono stosownej do wypoczynku gospody, gdzieby można było przeczekać reperacją powozu, wytworzyła się prawdziwa klęska dla znużonych i strwożonych kobiet...

Gospody dogodnej, choćby nieco czystej, nie było wcale; ale w sąsiednim, tuż przy gościńcu miasteczku, Wierzbie, otoczonem fossą i wałami, mieszkał niemłody, a żyć wesoło lubiący wdowiec.

Od rana do nocy, od zmroku do świtu, prawie codziennie grzmiała kapela na zamczku, strzelano z moździerzy, wznoszono toasty, gdy dni uroczyste nadechodziły, lub gość się zdarzył. O uroczystości i gościu łatwo wszakże było: więc zamczek weselem wciąż brzmiał.

I wina, i prochu używano moc wielką. Pierwsze łało się strugą do spragnionego gardła biesiadników, za pośrednictwem puharów olbrzymich, o różnych kształtach, dziś trudnych do opowiedzenia: miałem niektóre z nich w ręku, gdy już od lat wielu w skarbczyku spoczywały, i, zaiste, dłoni dziecięca z trudnością unieść je mogła. Spotykałem i takie, co rozmiarami zdumiewały, że jednak postawione być nie mogły, należało je więc wychylić do dna lub cisnąć o ziemię, a wówczas zawartość zalać-by mogła całą izbę, była bowiem garncowa... wychylano ją przeto... Proch psuto przy tych libacyach wcale hojnie: towarzyszyły toastom wystrzały. Pan domu posiadał na zamczku własną załogę, niegdyś liczną, ale wówczas do dwudziestu już tylko konnych zredukowaną.

Takim to był ów wdowiec, pan na zamczku, do którego podwoi zakolatały zdrożone kobiety. Przyjął je radośnie i gościnnie.

Było ich dwie: matka i córka. Córka, panna Katarzyna, acz dwudziestą ósmą już wiosnę liczyła, odznaczała się pięknosciami, której ślady o wiele dziesiątków lat później jeszcze widziano. Oprócz piękności rozum w niej uderzał.

Pan zamczku kazał naprawiać powóz, a tymczasem zagrzmiały mury od hucznej zabawy.

Trzy dni naprawiano powóz, i trzy dni trwała biesiada. Zanim jednak owi przygodni goście odjechali, dziedzic zamku wysłał pod ich dach dziewczosłębów, prosząc o rękę tej, którą do jego siedziby przypadek sprowadził...

Wkrótce potem grzmiała wielkim hukiem moździerze na wałach wierzbiańskiego zamczku. Dziedzic wprowadzał młodą małżonkę do swego domostwa. Chwila to była, zaiste, uroczysta, a błoga w następstwa dla owej rodziny. Pani R., całym swym długim życiem dowiodła, jak znakomicie obowiązkom sprostać umiała, jak po zgonie dziedzica majątek najzupełniej zachwiany ocalała, liczną a nieletnią dźwiatwę od biedy ochroniła, wychowała, na stanowiska społeczne wprowadziła, a wreszcie, wytrwała pracą z resztek zniszczonej fortuny wytworzyła mienie dostatnie, zapewniając byt każdemu z dzieci.

Pożycie małżeńskie z wdowcem trwało lat kilkanaście. Bógu błogosławił małżeństwo liczną dźwiatwą. Gdy lata pana na wierzbiańskim zamczku miały się ku schyłkowi, a działo się to w przedostatnim dziesiątku ubiegłego wieku, nawiedzać go zaczęły liczne niemoce. Pasma wesołego żywota rwać się i płatać zaczęło; wszystko wskazywało, iż nie życia ku końcowi się ma; dłuższego wątku, pomimo wysiłku, niepodobna było wysnuć...

Ratowano się mineralnemi wodami. Odbywano podróż za granicę, do wód, do uczęszczanego już nie mało i w przeszłym wieku Karlsbadu. Podróż z wierzbiańskiego zamczku do Karlsbadu odbywała się w taki sposób, o jakim teraz nikt nie marzyłby nawet.

Odbywano ją, rozumie się, swemi końmi, ale przytem w licznym taborze powozów i furgonów, z kucharzami, pajukami, z ciżbą sług, z osiemnastu zbrojnymi ułanami, którzy tworzyli eskortę bezpieczeństwa. Podróż z Wierzb, leżącej o jakie mil trzysta poza Lwowem, do Karlsbadu trwała sześć tygodni. Pani R. już wówczas rozwijała wielką energią, acz ze spokojem przejawiającą się, rządność niezmierną, zapobiegliwość gospodarczą, które to przymioty później stały się dźwignią jej prac; z niemi tak wiele w życiu dokazać zdołała.

Przykładem jej rządności są najszczegółowsze rachunki z karlsbadzkiej podróży, które prowadziła przez cały ciąg wędrówki tak długiej, iż samo zajechanie i powrót zabrały trzy miesiące. W archiwum rodzinnem, w głuchem, wiejskiem ustroju zachowano je dotąd. Służyć one może kiedyś będą dla badacza, jako materiał do dziejów obyczaju, dla nas są jednym z rysów postaci tej, zaiste, niepospolitej, w zakresie stosunków, nietylko niewieściach.

Podróż karlsbadzka nie przyniosła radykalnego wyleczenia. O ile długo dopisywały siły wśród gwarnego i zdrowiu niezbyt sprzyjającego sposobu życia, o tyle nagle gasnąć zaczęły i zgasły prawie niespodzianie.

Za dni rozpoczynających ostatni dziesiątek lat ubiegłego stulecia, zgasł pan wierzbiańskiego zamczku. W posępny wieczór styczniowy, ostatni raz zagrały moździerze na wałach Wierzb: tak żegnano pogrzebowy orszak, który odprowadzał ciało zmarłego do mogiły.

Ten, co za życia dalekim był od ascetyzmu, umierając, pragnał, by go złożono w klasztorze umnichów żebraczego zakonu. Stało się wedle woli. Ciało odprowadzono do jednego z kapucyńskich klasztorów, bezwzględnie, iż od Wierzb znacznie to odległa była miejscowość.

Wóz żałobny otaczała liczna osierocona rodzina.

Oprócz żony i dwojga dzieci z pierwszego małżeństwa, widziano siedmioro dźwiatwy małej z powtórných ślubów: czterech chłopców i córki trzy; najstarszy z chłopców szesna stą wiosnę zaledwie rozpoczynał, czy też i tego nie liczył.

Obok wdowy i sierot szli domownicy, rezydent, szła i załoga, owi ułani, których widzieliśmy, jak po sześć tygodni spędzali na kulbace, eskortując powozy do Karlsbadu. Nieśli oni swe lance, ale już poraz ostatni.

Skoro podziemia klasztorne kościółka pochłonięły trumnę ich wodza i przyjaciela, zarówno ułanom, załodze zamczku, jak i rezydentom, rzyszowistość stanęła w swej wielmożności przed oczyma.

Fortuna, oddawna zachwiana, runąć już wówczas musiała. Spozstrzegł to zastęp domowników i w wielki płacz uderzył. Dach, ochraniający ich przez lat wiele, zniknął nagle. Stosunki domowe zmienić się musiały i zmieniły się rzeczywiście.

Ułani, skoro zamknęli drzwi grobowca, już wnet na dziedzińcu kościelnym skruszyli swe kopie, lance, i z płaczem ruszyli w świat szeroki. Jeden tylko, co starszym wśród nich był, pozostał jako domownik, na długie lata, w gronie rodziny. Widziano go później, znacznie później, jak gości w bardzo sędziwym wieku, u jednego z synów swego dawnego chlebobdawcy... Coś tak, niby cień, niby pośredniego coś, między mglistą rzeczywistością a legendą, przesuwa się w mej pamięci ów dowódzca załogi wierzbiańskiego zamczku, zgrybiały, dogorywający w małym dworku, w którym był panem niezależnym.—Syn dawnego pana otaczał go opieką, troskliwością, zamknął mu wreszcie powieki.

Zgon męża był chwilą wielkiego przełomu w życiu późniejszej matrony. Niespodziewano się, że przetrwa przełom, że zeń wyjdzie zwycięsko... Przewidywania złowróbnne zawiodły...

Pozostała sama z siedmiorgiem małych dzieci, z fortuną zrujnowaną, interessami zagmatwanemi. Jutro dla niej, dla dzieci, szarą mgłą było otoczone; zdawało się, iż z rozbitcia nie unieść nie zdoła, nie nie ocali dla dzieci i sama się ugnie pod naciskiem twardego życia... Stało się wszakże inaczej. Samotna kobieta zdołała starczyć za wielu, zdołała prawdziwie mężką, żelazną niejaką dłonią ująć ster spraw domowych. Ujęła kierunek z energią niezłomną, ze świadomością ciężkiego zadania i już go odtąd wcale nie wypuszczała... Ster spraw domowych w jej ręku był skuteczną drogą do wybrnięcia z interessów.

Wierzbiańskie dobra wraz z zamczkiem sprzedała, sprzedała i inne posiadłości stopniowo, oględnie; wprowadziła odrazu po zgonie męża wielkie oszczędności, zmieniła stopę życia—wyższą na inną, szlachecką, ale dostatnią. Zaledwie parę lat upłynęło, a już całą reformę stosunków domowych przeprowadziła.

Summy otrzymane za dobra pokryły długi i jeszcze pozostał kapitał, który pani R. włożyła w nowe, dogodne nabycia. Kupiła w innej zupełnie okolicy parę wiosek z dwóch pozostałych po upadłej fortunie, i tam urządziła nowe swe życie; tam wychowała dzieci, tam je wyposażyła i w świat wyprawiła, tam pracą wieloletnią zdobyła dostatek i spokój.

Nowe, inne życie zaszczerpiła na innem polu, niejaką na nowinie, która bujnym żniwem wynagrodziła jej ciężki żniw...

Ostatnie sześćdziesiąt lat życia—to okres nowy w istnieniu tej rządnej, rozumnej niewiasty, okres pełny spokoju i pomyślności... Spokój i pomyślność sobie jedynie, własnej pracy, energii, rozumnej rządności zawdzięczała... Nieszczęście jej nie zmogło: wyższa nad wszelkie ciosy losu wyszła z zapasów mocniejsza a tryumfująca, by za dni sędziwej, długoletniej starości używać dobrze zasłużonego spoczynku... Sam spoczynek pracą był u niej, bo właściwie nie opuszczała aż do zgonu steru gospodarstwa i interessów, gdy już nie mogła do wszystkiego dłonią dotknąć się, sięgała bodaj myślą, a ta jej myśl, aż do końca życia, na

każdej, by najmniejszej, sprawie piętno swe wyciskała.

*

*

*

Taką była przeszłość sędziwej matrony, witającej, o ile pora roku pozwalala, na ganku domowstwa swego przybywającego „pana brata“... Brat to jedyny, a ukochany, zawsze od lat wielu doradca, jedyny współpracownik jej ciężkiego znoju przy dźwiganiu interesów. Dokładał on tu nie dłoń, lecz doświadczenie swe mężkie, acz młodszy znacznie, dokładał wiedzę prawną i wytwarzał uczucie to, nieraz niezbędne, że się nie jest samotnym...

Domowstwo tej niepospolitej kobiety obszernem nie było, chociaż mieściło w sobie tłumne koła rodziny, sąsiadów, znajomych, a co ważniejsza nie liczyło wśród swych izb ani jednej zbytecznej, mniej potrzebnej, zbudowanej dla kogoś, na pokaz, nie dla siebie. Wzniosła je ona, również jak wszystko, co ów dom otaczało. Przybywszy z wierzbiańskiego zameczku zastała pustkowiem na nowej siedzibie, i na tej pod każdym względem „nowinie“ wszystko od pnia zmuszona była wznieść i dźwigać... Z dawnego życia, z dawnej siedziby wywiozła tylko część skarbczyka rodzinnego, obrazów kilka z kaplicy, i wreszcie to, co za skarb cenny starczyć mogło, a mianowicie przeświadczenie, że z życiem zbytkownem, nieopatrzenem, wyczerpującem by największe zasoby—zwracać stanowczo i nazawsze należało.

Wszystko w jej domu i otoczeniu o urzeczywistnieniu tego przeświadczenia mówiło, wszystko tętnęło prostotą, powagą, ładem, na ślad zbytku nie nie naprowadzało; zdawało się, że świat go nie zna: bo niegdyś — przed dziesiątkami lat — pani domu wyrzekła się go, i ślubu umiarkowania, w milczeniu złożonego, święcie przez życie długie dochowała...

Sąsiedzi jej, bliżsi, dalsi, chętnie wznosili domy murowane, z pozorami pałaców, z obszernymi salonami, ze wspaniałymi bramami; ona, wzniosła drewniany, wygodny budynek, wcale niewyniosły, o siedmiu izbach, na tem poprzestała postanowiła i porzuciła. Ściany może się tam i rozszerzały, jak chce poeta—lecz objąć wszystkich kół rodzinnych, pod ten dach przybywających, nie zdołały: z latami za ciasno się stało... Więc, nic nie dobudowując, wznosiła ofiicy w miarę potrzeby, większe, mniejsze, aż z nich, poza domem, na oddzielnym placu, cały niby rynek wytworzył się, otoczony ofiicynami różnego miana; nazywano je — „wielka“, „mała“, „Nosowica“: Na środku placu wznosił się dąb, który tam był najstarszym przybyszem; pioruny go opaliły, burze konary stargały, lecz on zawsze dumnie szczyt obnażony z liści wznosił, a na owym szczycie bocian gniazdo swe miał. Wśród gości, co na owym placu po tygodniu nieraz gościli, i on gościem był, a dumnym mienić się mógł, że siedzibę posiadał najwyższą...

Maryan Dubiecki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— W Petersburgu powstało nowe towarzystwo przemysłu drobnego pod nazwą: Towarzystwa zachęty pracy rzemieślniczo-artystycznej, to jest sztuki stosowanej do przemysłu.

— Okólnik zarządu skarbowych dróg żelaznych w Petersburgu ogłasza, że wskutek chwalebego świadectwa, jakie zarząd ów otrzymał od poszczególnych biur swoich o pracy kobiet na kolejach, pozwala za upoważnieniem ministra na przyjmowanie kobiet do biur kolejowych w stosunku 20% do ogółu urzędników kolejowych,

a w statystycznych wydziałach tych biur do wysokości 30%.

— Kursa stenografii dla kobiet mają się otworzyć w Warszawie w miesiącu Lutym przyszłego roku. Podanie wniesione o to przez byłego stenografa sądów wiedeńskich, Felixa Jarosz, do władz opowiednich naszego miasta odniosło skutek pomyślny.

— Towarzystwo pomocy dla uczącej się młodzieży powstało w Mińsku 1875 r., z inicjatywy p. Anny Korbuttowej, mieszkanki tamtejszej. Członkowie składali rocznie po 10 rs., a gdy p. Korbuttowa wydalila się z Mińska, miejsce jej zajęła przełożona ówczesnego gimnazjum dla dziewcząt, p. A. Reichen, zniżając cenę składki do 3 rubli, urządzając obok tego dla pomnożenia dochodu koncerty i tym podobne zabawy, co jednak nie zapobiegło upadkowi Towarzystwa. Uciekanie się do środków takich nigdy też i dla żadnej instytucji, dla żadnej sprawy owocem nie bywa, bo jest to już dowodem, iż ogół miejscowy nie bierze rzeczy do serca. Obecnie jednak Towarzystwo wznowionem zostało.

— Zarząd wystawy etnograficznej zwrócił się do hafciarek i koronczarek wiejskich z żądaniem nadsyłania swych wyrobów na wystawę. Może ważniejszą rzeczą pod względem charakterystyki etnograficznej byłyby tkaniny wełniane, rańtuchy, zapaski i inne przedmioty ubioru wieśniaczek domowego tkania i barwienia. Wełniaki takie różnią się między sobą barwami przyjętymi w jednej, nieużywanymi zupełnie w drugiej prowincyi.

— Z zapisu ś. p. Chojnackiego na rzecz służących, długo pozostających u jednych pracodawców, otrzymała pierwszą nagrodę, 150 rs., Aniela Sowińska za 46 lat służby u p. Emilii Henrych; drugą, w summie 75 rs., dostała Ulanowska Justyna, także za lat 46 służby u p. Marii Dąbrowskiej. Paniom tym należałyby się również nagrody — dyplom uznania za to, że umiały obchodzić się ze służbą swoją uczciwie i rozumnie, bo tylko u takich pracodawczyń mogą być sługi dobre.

— P. Wanda Kasprzycka zamierza otworzyć w mieście naszym kursa gospodarstwa kobiecego, obejmujące naukę gotowania, hodowli drobiu i trzody chlewnej, przerób nabiału, przyrządzanie konserw rozmaitych, oraz szycia bielizny, prania, prasowania i tym podobnych zajęć gospodarstwa kobiecego. Kurs całkowity obejmować ma kurs skrócony 3 miesiące nauki.

— P. Wasilkowska, Warszawianka, ukończywszy szkołę weterynaryi w Paryżu, zamierza założyć w mieście naszym lecznicę dla zwierząt i ptaków domowych. Zakład ma być urządzony na wzór istniejących w Paryżu i Londynie.

— Nauczycielka prywatna, p. M. Sikorska, wykonała mapę poglądową Królestwa Polskiego w wielkim rozmiarze, przeznaczając ją na wystawę w Chicago. Jest ona odrobiona bardzo starannie i pracowicie, podział opiera się na produkcji rolniczej, przemysłowej i fabrycznej, daje więc obraz ruchu pracy i stosunku różnych jej gałęzi do siebie.

— Towarzystwo przemysłu i handlu ogłosiło odezwę w sprawie pracy kobiet, zachęcając producentki nasze do wzięcia udziału w wystawie amerykańskiej. Wice-prezes Towarzystwa, p. Władysław Kiślański powierzył jednej z pań utworzenie komitetu, któryby ułatwił przeprowadzenie rzeczy, wyrażając w programie życzenie, aby ze szczególną uwagą zebrane i opracowane zostały fakta działalności kobiet w naukach, literaturze, sztuce, wychowaniu, dobroczynności, z przedstawieniem odpowiednich danych statystycznych, oraz planów i fotografii. Komitet rozpoczął już działać i osoby mogące przedstawić okazy ręcznej pracy kobiecej w rozmaitych gałęziach, lub też, posiadając szacowne jejabytki w postaci starożytnych hafców, koronek, malowideł, wachlarzy i klejnotów — w ogóle przedmiotów należących do kobiety, są proszone o składanie deklaracji w kancelaryi Towarzystwa: Krakowskie - Przedmieście N-r 66, od godziny 10-jej rano do 3-jej popołudniu. Pożądane są tu okazy drobnego przemysłu kobiety wiejskiej, byle kierować się w wyborze przedmiotów

do gromadzenia takich zwłaszcza, które stanowią charakterystykę pracy znacznej liczby kobiet, lub też odznaczają się oryginalnością, smakiem artystycznym. Wspomniana odezwa kładzie nacisk na to, aby przedstawiał się tutaj stopień cywilizacji kobiety naszej, jej smak i rola, jaką odgrywa wśród społeczności swojej; oraz o ile przykłada się do postępu jej cywilizacji i dobrobytu. Ostateczny termin odsyłania okazów do kancelaryi Towarzystwa wyznaczony jest na koniec bieżącego miesiąca. W początkach Stycznia 1893 r. Towarzystwo urządzi ich wystawę w sali Muzeum Przemysłu i wysła je bez żadnego kosztu ze strony wystawczyń do miejsca przeznaczenia. Osoby interessowane powinny starać się o pośpiech w składaniu deklaracji.

— Przez kilka tygodni przeciągały przez Kalisz gromady robotników i robotnic, pracujących przy robotach portowych w Kiel. Na kobietach nie odcisnęło się tak, jak na mężczyznach piętno zrudzociemnienia, ponieważ zatrzymały one swój ubiór dawny, gdy mężczyźni przebrali się i obok tego popsuli sobie mowę, przed czem ustrzegły się kobiety. Jak znaczną była liczba tych wychodźców i z jakim zarobkiem powracali, dowodzi fakt, że w jednym kantorze zmiany wymieniono im zarobionych pieniędzy na 50.000 talarów. Zarobek kobiet był tu szczególniejszy znaczny z powodu większej oszczędności w wydatkach.

— Krakowska Rada Miejska zajęta jest sprawą wyższych kursów naukowych w Muzeum Techniczno-Przemysłowem, które 25 lat temu założył nieodżałowanej pamięci D-r Adrian Baraniecki. Obecnie utrzymanie tych kursów, które stały się własnością miasta, znajduje się wielu przeciwników. D-r Jordan Henryk i D-r Jakubowski Faustyn wystąpili przeciwko dalszemu ich prowadzeniu wedle programu dawnego, żądając, aby usunięto tu nauki filozoficzne i przyrodnicze, jako niepotrzebne kobiecie, i ograniczono się do praktycznego kształcenia uczennic; odezwał się nawet głos, aby przemieniono zakład na szkołę męzką. Wystąpił przeciwko tym wnioskom D-r Rostafiński, professor uniwersytetu a zarazem znakomity przyrodnik zdanie zaś to podzielało wielu członków Rady, a także i opinia całego niemal miasta. D-r Rostafiński wykazał pożytek i potrzebę kursów w takim ich układzie, jakim chciał je mieć założyciel, który, przez dwadzieścia pięć lat pracując w tym kierunku, uczynił z nich jakoby uniwersytet dla kobiet, za co należy się prawdziwie świętej jego pamięci wdzięczność ogółu. Kobieta dzisiejsza pragnie i potrzebuje wyższej nauki, która tysiącom ich daje możność zarobienia sobie na kawałek chleba, i niesprawiedliwością byłoby przeszkadzać im w dążeniu do tego. W Krakowie podnoszą się głosy, iż D-r Bandrowski, professor chemii, któremu powierzono kierowanie zakładu mimo najlepszych chęci nie umie utrzymać nici tradycyi, jakie wyrobił ś. p. Baraniecki.

— We Lwowie umarła kobieta wysokich cnót ewangelicznych i zarazem niepospolitego umysłu, Amelia Makowska, żona dyrektora zakładu niewidomych. Pragnąc ulżyć niedoli tych nieszczęśliwych, zajmowała się moralnym stanem ich uczuć, nauczając obok tego tych różnych prac, które po wyjściu ich z zakładu dawałyby biedakom możność zarobienia sobie na życie.

— Akademia Monachijska mianowała członkiem swoim włoszkę: hr. Ersilia Caetani-Lovatelli. Pani ta jest już od lat dziesięciu członkiem rzymskiej akademii dei Lincei. Urodzona w 1840 r., oddała się bardzo wczesnie badaniom archeologicznym Rzymu, zna doskonale język łaciński, potrzebny jej w odczytywaniu starych napisów; obok studyów starożytnych, jest ona uczoną w kierunku średniowiecznej historii Włoch, ich sztuki, ich literatury, posiadając podobne wiadomości w zakresie czasów nowożytnych. Obok uczonych artykułów, które zamieszcza w sprawozdaniu akademii dei Lincei, pisuje dużo do najwyższej cenionego czasopisma włoskiego *Nuova Antologia*.

— Śmiertelne szczytki znanej podróżniczki, Idy Pfeiffer, otrzymały od narodu swego grób honorowy, jeżeli się tak wyrazić można. Odgrzebano je i wydostano z mogiły na je-

dnym z wiedeńskich cmentarzy, gdzie spoczywały, i przeniesiono je do centralnego cmentarza, gdzie pochowane zostały w oddziale przeznaczonym na grabanie zwłok ludzi znakomych. Miasto Wiedeń reprezentowane było przez radcę miejskiego w asystencji radców cyrkulów poszczególnych, literatura i piśmiennictwo peryodyczne, oraz stowarzyszenie wyższego wykształcenia kobiety, stowarzyszenie gospodyń i wiele innych stowarzyszeń miało tu także reprezentantów swoich. Ne mogile stała obelisk z porfiru, na którego szczycie umieszczony jest glob; poniżej portret zmarłej w otoczeniu ozdób z brązu.

— Mrs Gladstone odezwała się do publiczności angielskiej o wspomnienie miłosiernej instytucji wychowującej ubogie, rodziny pozbawione dziewczęta. Była tu ona przewodniczącą przez lat dziesięć, i ona-to dała zakładowi mieszczącemu się na odległym przedmieściu londyńskim kierunek rozumnie zabezpieczający przyszłość wychowanek. Dziewczeta samotne, pozbawione rodziny, nierzadko schodzą z drogi prostej, zanim poznają życie i jego cele, najlepiej też jest, aby takie samotne szukały sobie pracy u ognisk domowych, gdzie znajdują pewną opiekę i razem kontrolę. Każda pani dobra i łagodna odniesie tu niemal zawsze skutek pożądany. Zaczyna ta filantropka zwraca przytem uwagę pań, aby przez wzgląd na naturalną potrzebę człowieka zabawienia się niekiedy, dopomagały dziewczętom młodym w znalezieniu sobie rozrywki godziwych, a szczególnie tym, które nie mając w pobliżu rodziny, nie mogą ich znaleźć u ogniska domowego, gdzie matka czuwałaby nad niemi. Jednym z ważniejszych środków, któremi panie rozporządzać tu mogą, jest rozbudzenie zamiłowania do książki, do czytania, przecież nie tylko treści moralizującej, jak to bywa zwykle w takich razach. Dobre, zajmujące, z prostotą, a przecież z talentem pisane powieści, opisy podróży, pamiętniki ludzi szlachetnych, którzy dokonali rzeczy niepospolitych, niezawodnie-by zajęły i jedynym chwilom odpoczynku po pracy dałyby miłą, pożyteczną rozrywkę. Trzeba przecież na taką troskliwą miłość bliźniego pani tak szlachetnej, jak Mrs Gladstone.

Z bieżącej chwili.

— Według dzienników Petersburskich otwartą będzie wkrótce w salach rady miejskiej wystawa planów nowego mostu na Newie, opracowanych przez inżynierów miejscowych i zagranicznych, szczególnie francuzkich.

— Projektowaną w Petersburgu wystawę leśną, postanowiono odłożyć na dwa lub trzy lata.

— Na wystawę etnograficzną, obok świeżo nadesłanych zbiorów australskich nadeszły okazy majolikowe wyrobu mieszkańców Ziemi Świętej.

— Na wystawę konkursową w dziale rzeźby utworzoną przez Towarzystwo Sztuk Pięknych, zaczynają już napływać deklaracje. Wystawa otwartą będzie w pierwszych dniach Stycznia nadchodzącego roku.

— Na ostatnim posiedzeniu członków komitetu Tow. Sztuk Pięknych postanowiono dokonać w d. 19 b. m. drugiego, ostatniego zakupu dzieł sztuki dla rozlosowania między członków Towarzystwa. Drugi ten zakup będzie pod względem ilościowym wiele znaczącym, niż zwykle. Do komisji zakupowej oprócz członków komi-

tetu, jako rzeczoznawców, zaproszono pp. Andrychewicza, Jana Rosena, H. Marczewskiego, I Dziekońskiego, Wł. Podkowińskiego i Lud. Temlera. W Lutym przyszłego roku ma być otwartą w sali ratuszowej wystawa ruchoma współczesnych malarzy francuzkich.

— Wielu malarzy warszawskich postanowiło wysłać na wystawę sztuki do Kijowa obrazy swoje. Wystawa mieści się w lokalu prywatnym, na ten cel wynajętym. Miejsce krytyka podnosi między innymi zalety malarzy; Orłowskiego, Eugeniusza Wrzeszcza, Stanisława Golimskiego.

— Komitet Muzeum Przemysłu i Rolnictwa postanowił, korzystając z wystawy nasion, wybrać najprzedniejsze okazy i wysłać je na wystawę do Chicago. W ten sposób dwudziestu pięciu naszych ziemian weźmie udział w wystawie.

— Zawiązała się spółka zbożowa pomiędzy czterema ziemianinami z pow. Grójeckiego i Nowomińskiego a domem zbożowym w Gdańsku o dostawę zboża bez pośrednictwa faktorów. Agent, przysłany w tym celu z Gdańska będzie i nadal utrzymywać bezpośrednie stosunki z ziemianami naszymi w kole ich szerszem.

— Grono członków Towarzystwa *Mercury* podniosło wniosek rozszerzenia sprzedaży rabatowej, porozumie się nie tylko z rzeźnikami i piekarzami, lecz w ogóle z wszystkimi producentami, jak na przykład z cukiernikami, krawcami, szewcami, rękawicznikami i tam dalej, aby sprzedaż rabatowa obejmowała oprócz przedmiotów spożywczych, wszelkie artykuły potrzeb domowych w rodzinach. Wniosek odpowiednio opracowany, przedstawionym zostanie do zatwierdzenia na najbliższym półrocznym zgromadzeniu członków.

— Pośrednictwo w pracy ma wielkie znaczenie dla osób prywatnych, potrzebujących pracować i powstać też w mieście naszym projekt utworzenia pośrednictwa między pracodawcami a pracownikami. Szczególniej trudni się ono będzie wyszukiwaniem tej pracy dla robotników fabrycznych, oficyalistów prywatnych i wyrobników dziennych: Przeprowadzenie potrzebnych tu formalności już powierzono jednemu z miejscowych naszych adwokatów.

— W obec nadchodzących do zarządu Towarzystwa Jedwabniczego zapytań, gdzie w Warszawie spieniężyć można rozwiniętą, uprzedzoną, lub skreconą nie jedwabną krajową? — zarząd Towarzystwa wzywa miejscowych fabrykantów: trykotaży, wstążek, koronek i tym podobnych przedmiotów o nadsyłanie w jak najbliższym czasie do biura Towarzystwa (Nowy-Swiat 4) wiadomości o rodzaju i rozmiarach zapotrzebowań swoich na nie jedwabną.

— Na posiedzeniu komitetu, zajmującego się urządzeniem zabawy gwiazdkowej na biednych w salach Resursy Obywatelskiej, członek komitetu, prezes A. Werner przedstawił ułożony przez siebie plan sklepów, oraz listę pań zaproszonych. Ostatecznie będzie sklepów 17, w kształcie kiosków, z których siedem własnych mieć będą p. p. z hrabiów Branickich, księżna Radziwiłowa, hrabina Pelagia Branicka, hr. Wincentowa Walewska, doktorowa Przyborowska, doktorowa Tyrchowska, profesorowa Paulina Dickstein, księgarnia Paprockiego. W dalszym ciągu urozmaicenia zabawy, będą oprócz orkiestry Sonnenfelda produkuje muzyczno-wokalne deklamacyjne. Zabawa trwać będzie przez dni cztery.

— Komitet wystawy w Chicago postanowił, aby wystawa była zamykana w Niedzielę, co nie tylko zmniejszy jej dochody, ale nie pozwoli ludziom pracującym cały tydzień, korzystać z dnia wolnego od pracy. Można było dla względów religijnego uszanowania święta, aby

wystawa bywała w Niedzielę otwartą dopiero po nabożeństwie, tak zaś jak zarząd chce obecnie, klasy pracujące nie będą mogły korzystać z wystawy, co będzie krzywdą wielką nie tylko dla nich osobiście, ale i dla kraju, bo oglądanie zgromadzonych prac całego świata rozszerzyłoby niewątpliwie ich wiedzę w zakresie przemysłu pracy, której się oddają. Wystawa ma być również zamykana o godzinie 7-my wieczorem, w ogóle więc ludzie pracy korzystać z niej nie będą pod względem wszelkim.

— Na ostatnim posiedzeniu krakowskiej rady miejskiej toczyły się żywe rozprawy co do utrzymania nadal wyższych kursów naukowych dla kobiet, które założone w tem mieście przed 25 laty przez ś. p. Adryana Baranieckiego oddały edukacji kobiecej wyższe zasługi. Ostatecznie zapadła uchwała, że kursa owe i nadal istnieć będą pod opieką gminy miasta, dzieląc się na dwa oddziały: literacki i przyrodniczy, obok oddziału sztuk pięknych. Według wskazówki miejskiej sekcji szkolnej grono nauczające dążyć będzie do zaprowadzenia wykładów głównie potrzebnych kobiecie w życiu praktycznym. Większość przecież głosów sekcji szkolnej oświadczyła się za dawnym kierunkiem, to jest, aby kursa były wyższą szkołą kształcenia kobiety. Rzecznikami tej słusznej sprawy był poeta Asnyk, Mieczysław Pawlikowski, oraz Rotter dyrektor krakowskiej szkoły techniczno-przemysłowej.

— W Pradze Czeskiej czynią przygotowania do wystawy etnograficznej w ten sposób, że w różnych miejscowościach Czech i Morawii, odbywać się mają wystawy prowincjonalne. Trzy pierwsze odbyły się już w Morawii, w miejscowościach: Wsetin, Hodonin i Boskowitz. Wystawa w Boskowitzach urządzona już na wyższą skalę, dzieliła się na trzy oddziały. W oddziale sztuki było przeszło trzysta obrazów, głównie wypożyczonych z Pragi, a to z celem zaznajomienia ludności miejscowej z rozwojem sztuki czeskiej. To samo powtórzyło się w oddziale przemysłu, gdzie obok okazów miejscowych, mieściły się okazy pochodzące z Pragi i takie wystawy mogą niewątpliwie oddziaływać na podniesienie ruchu pracy i twórczości na polach jej rozmaitych. W oddziale etnograficznym pomieszczono wiele ciekawych okazów z życia Słowaków nie tylko na Morawach, ale i na Węgrzech.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: Arkusz 5-ty powieści pod tytułem **Trzy przeznaczenia**, przez Mariona Crawforda, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Książki kolędowe, przez M. I. — Mgła. Powieść oryginalnie napisana przez M. Gawalewicza (dalszy ciąg). — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzezińskiego. — Dni dorocznych uroczystości rodzinnych (ze wspomnień młodości), przez Maryana Dubieckiego (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty **Trzy przeznaczenia** przez Mariona Crawforda. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. — 23 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 2 Декабря 1892 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.